



NISZCZĄCE DZIAŁANIE OCEANU.

Potężne fale oceanu uderzają i rozdzierają bez przerwy, wyspy i brzegi stałego lądu. Jest to niespracowany nieprzyjaciel, który wydiera ziemi, miejsce przez nią zajęte, nowymi zdobyczami rozszerza swoje granice i znaczne zmiany zrząda na kuli ziemskiej. Jeżeli rzeki i mierniej wielkości strumienie codziennie podrywają brzegi i kopią sobie nowe koryta, jakaż może być siła oceanu, a zwłaszcza tam gdzie gwałtowność prądów łączy się z siłą wzburzonych fali? Bałwany uderzają bez ustanku, z hukiem do wystrzału z dział podobnym, o stopy skał nadbrzeżnych, i odrywają ogromne głązy od tych szanów przeznaczonych na obronę stałego lądu.

Gwałtowność prądów powiększa się jeszcze, gdy jaka zapora sprzeciwia się wolnemu biegowi wody. Wówczas fale nagromadzają się z nadzwyczajną szybkością, i usiłują otworzyć drogę. Brzegi kanału la Manche, tak od strony Francji jak Anglii, wskazują przykład tego działania, a liczne

wyszczerbysą dowodem zwycięstw oceanu. Główną przeszkodą wolnemu odpływowi wody w tym kanale, jest zagłębienie, w którym leżą wyspy Jersėj Guersenėj, z okolicznymi wysepkami, przy brzegach Francji. Przystęp morza mając przez nie utrudniony pęd ku brzegom, wpada w małe przesmyki między skałami, z szybkością której sobie wyobrazić nie podobna. Poziom wód przy Jersėj podnosi się na czterdzieści pięć stop w przeciągu sześciu godzin; jakiej więc siły potrzeba ażeby taką masę wody podnieść do takiej wysokości! Skały bez ustanku bite falami, zarywają się naręście; a wyspy poszczerbione, rozdzielają się z czasem na mnóstwo pojedynczych wysepek.

Ocean północny przedstawia jeszcze bardziej uderzające fenomena. W tych dzikich krainach, wystawionych na wichry od bieguna północnego, olbrzymie sceny zniszczenia zachodzą się codziennie, a zwłaszcza podczas burz zimowych. Między Or-

kadami i wyspami Schetland przystęp morza nabywa niezrównanej mocy. Z pomysłnym wiatrem pomnaża się jego szybkość, gdy zaś przeciwny wichur tamuje bieg jego, fale wznoszą się z niestychaną potęgą, i wściekłość swoją wywierają na skały tamujące ich postęp. Rycina umieszczona na czele tego artykułu, wyobraża grupę skał przy wyspach Schetland. Ich widok musi dać wyobrażenie czytelnikom jak silne jest działanie Oceanu. Zapełnione wkrótkim przeciągu czasu, te olbrzymie skały podobne do wież zwałonego zamku, runą w głębinę morza. Niedługo stworzyły one jedną wyspę zamieszkaną może, a teraz ocean oderwał ziemię która ją pokrywała, i zrobił z niej, że tak rzekę, szkielet kamienny. Wyspa Hillswick leżąca nieopodal tych dzikich skał, może z nich wyczytać przeznaczenie swoje. Codziennie ocean huczy w około niej i dopomina się o zdobycie swojej, codzien wstrząsa i odrywa nadbrzeżne skały. Toż samo dzieje się z większymi wyspami. Lecz co z jednej strony wydiera ocean, to wysypuje na drugą. Dawne ziemie rozrywa, a w to miejsce przy brzegach Chin i Japonii utwarza inne.

S O B U T K I

U SŁOWAKÓW W WĘGRZECH.

(z *dziennika podróży 1829 r.*)

W komitecie Neüsol (a) na tydzień przed Stym Janem, 16 lub 17 czerwca rozpalają zwykle Sobutki, i palą ciągle do Sgo Jana. Byłem widzem tego rodzaju igrzyska. Skoro słońce zaszło, a mrok padać zaczął, zebrały się młode dziewczki, a przyniosły drzewa i słomy, donośnym hasłem: „*Chybaj na Jana!*” „*Chybaj!*” ogłaszały czas zebrania.

Za zgromadzeniem w oznaczone miejsce rozpalają stosy przygotowane. W jednej chwili ujrzałem tysiączne ognie rozniecone na wzniosłych górach i kwiecistych łąkach nad rzeką Granem. Świeciły ognie jak gwiazdy, to błyszczące wśród dąbrowy zielonej, to pośród łańcucha kulistego gór, oświecając ciemne lasy. Chłodny wiatr powiewał; na wyniesionym stojąc wzgórzu, owinięty burką, patrzałem na te liczne ogniska,

rozwidniające. w poranku cały krajobraz. I miałem przed oczyma dwie pory roku, zimę i wiosnę w całej piękności. *Gran* jak szeroką niebieską wstęgą, toczył z cichym szmerem wody: zboża kołysane wiatrem; umajone gaje, i łąki: a wyżej góry, ciemne, czarne bory, a wyżej jeszcze nagie olbrzymie góry skaliste, a na nich śnieg biały, którego słońce wiosny, a często skwar lata nie może roztopić.

Mocniejszym promieniem zajaśniały stosy, wtedy rzeźwe dziewczęta rozpędzając się w pełnym biegu zręcznie je przeskakiwały.

Zabrzmiały śpiewy, a echo po rosie powtarzało pieśń odwieczną sławiańską. Noc była piękna i pogodna, księżyc jasny niezamieniony chmurami, wszystko to dodawało uroku temu wieczorowi, i przносиło naszą wyobraźnię do odległych starożytności sławiańszczyzny wieków, gdy te ognie i te pieśni święcone były w duchu owczesnej wiary i zwyczajów.

Z pomiędzy licznych pieśni, przytaczam tu jedną wierny przekład, której zbiór Szafarzyka (b) nie zawiera wcale.

Przyszedł już przyszedł

Świętego Jana wieczor:

Woj! Jana, Jana, woj Jana!

Nałożem my ognia-

Na trzy strony słońca!

Woj! Jana, Jana, woj Jana!

Jeden my nakładziem

Na wychód słońca,

Drugi my nakładziem

Na *zapad* (zachód) słońca!

Woj! Jana, Jana, woj Jana!

Czarna była choina

Wynies że mnie na podwórze!'

Woj! Jana, Jana, woj Jana!

Wyniesiem, wyniesiem,

Da Pan Bóg na Jesień.

Woj! Jana, Jana, woj Jana!

Tego rodzaju Sobutki, co w Rusi zowie się *Kupato*, zachowała do tychczas cała

(a) Miasto stołeczne tego komitetu Neüsol po słowacku „*Bystrzyca*.” Należy do miast większych, zasobne w mury, i wiele pięknych domów. Starożytne bramy, i mury powiększają się części utrzymały, które całe otaczały dawniej miasto. W bramie jednej wiszą ogromne statki rozbójników z bandy sławnego *Janusko*.

(b) Szafarzyka wydał we dwóch tomach zbiór „*pieśni Słowaków w Węgrzech*.” Kollar ogłosił numeratę na nowy zbiór, który obejmie dawniejszy Szafarzyka z dodaniem nowo zbieranych pieśni.

Stawiańszczyzna, Czechy, Serby, Ruś cała i Polska, palą te ognie, i mają szczególnie do tego obrzędu przywiązane pieśni.

K. W. W.

MIKOŁAJ REJ Z NAGŁOWIC.

Andrzej Trzecieski współczesny Reja, mąż głębokiej nauki, wielce poważany, opisał życie jego w prostocie owych wieków, przedrukowane w Dykcyonarzy poetów polskich przez Juszyńskiego, które tutaj w krótkości zebrane podajemy naszym czytelnikom.

Rej Mikołaj pochodził z starodawnego a poczciwego domu Rejów, którzy się zawsze pisali z Nagłowic, od wsi ziemi Krakowskiej, niedaleko rzeki Nidy. Ród tych Rejów był cichy, skromny, poczciwy, nie lubiący bawić się świeckimi sprawami, zażywając spokojności domowej. Ojciec jego Stanisław, służył wojskowo w ziemi ruskiej, i tamże ożenił się z Buczaczką, a po jej zgonie, pojął był drugą żonę z niemającym posagiem, Barbarę Herbutownę, z domu sławnego Fałszyńskiego, wdowę po znacym szlachcicu Żorawińskim, którego byli pojмали Turcy na Bukowinie za Alexandra Króla. Z tej Herbutownej urodził się Mikołaj w Miasteczku Żórawnie nad Dniestrem roku 1505 (*) gdzie ojciec jego, umarł i gdzie leży pochowany. Oprócz Żórawna posiadał on w Krakowskiemu ziemii, Topole, Stanowice i Bobin, ale tu bardzo rzadko bywał.

Ojciec jego człek poczciwy i spokojny, daleki od spraw publicznych, mało także dbał o wychowanie syna jedynaka, którego do późnych dosyć lat miał przy sobie, i ledwo go namówili sąsiedzi, iż go był oddał do Skalmierza do szkoły jako najbliższego miasteczka. Tam będąc dwa lata, niczego się nie nauczył, powrócił do domu, a potem ojciec go dał do Lwowa; lecz i tam ponieważ już był podrostkiem, przenosząc zabawę z przyjaciółmi, żadnej także nie odniósł korzyści. Nakoniec dał go do Krakowa i był w bursie Jeruzalem; lecz i tam poznawszy już powab towarzystwa, napróżno czas zmarnował.

Lubo syn istotnie nic nie umiał, ojcu zdawało się że już był nauczony; wziął go więc do domu do Żórawna, gdzie z rusznicą i wędką aż do osmnastego roku się ćwiczył łaki strzelając. Potem go posłali do Topoli, do stryja, aby go tenże gdzie wyprawił na służbę i kupili mu kitajki na kabaty na wyprawę. A on tymczasem wrony to-

wił około brogów, i nim mu uszyto suknię, owę kitajkę wykrajał na proporcezki, które przywiązawszy wronom do szyi i ogona, i tak żywo puszczał, tym sposobem wypędzał wrony i kawki że szkody w gumnach nieczyniły. Tam więc dla kabata rok cały musiał mieszkać; aż ojciec przyjechawszy inny mu sprawił, i potem oddał go do Pana Andrzeja Tęczyńskiego, Wojewody Sandomirskiego, zacnego i mądrego senatora, który acz wzrostem mały, głowę miał wielką.

Tam będąc, zaczął się w pisanie listów polskich wprawiać, bo łacińskiego języka bardzo mało albo nie nie umiał. Z tych listów, rozmów między pisarzami, z czytania, a snadź więcej z natury, już się był nie źle przetart, tak, iż potrosze zaczynał czytać łacińskie pisma, pytając się czego nie rozumiał. Tym sposobem, przez wrodzoną umysłu bystrość, przez własną pracę i staranie, nabył potrzebnych wiadomości i rozumu. Ale muzyka, którą nadzwyczajnie lubił, wiele go odrywała od naukowych zatrudnień, umiał on teksty dziwne, wiersze rozmaite bez namysłu składać. Będąc młodu bardzo ciekawym, nigdy na jednem miejscu długo posiedzieć nie mógł; a myślistwo mu też wiele przeszkadzało.

Opuściwszy dwór Tęczyńskiego, wrócił między swych przyjaciół na Rusi, i często przebywał w domu Mikołaja Sieniawskiego, wojewody bełskiego, pragnąc widzieć zbliska, co zaci ludzie czynią. Lubiąc jednak pokój, zaniedbał ćwiczeń i spraw rycerskich, korda swego nie dobył nigdy, chyba dla zgody zwaśnionych przyjaciół, lubo sam do złego nikomu z siebie przyczyny nie dał. Potem się ożenił, pojąwszy Rosnownę, siostrzenicę Arcybiskupa Rożego, z którą dostał znaczne dobra Kobylskie i Sumnice w Chełmskiej ziemi, gdzie potem zamieszkał, i niedaleko Chełma miasteczko Rejowiec założył. A wszakoż do Krakowskiej ziemi bardzo go przyrodzenie ciągnęło, dla dworu, bez którego żyć nie mógł; a żadnego sejmu, zjazdu, ani żadnej koronnej sprawy nie omieszkał. Król Zygmunt stary był bardzo na niego łaskaw, także i Królowa Bona, i dał mu być jurgieltem (pensją) i kilka wiosek: podobnież wszyscy panowie bardzo go radzi widzieli i nie mało mu świadczyli dobrodziejstw. Mimo takich związków i do spraw publicznych ochoty, nie przyjął żadnego urzędu ziemskiego, twierdząc, iż w zatrudnionym żywocie, dwa najslachetniejsze klejnoty, obciążone bydź muszą, spokoj i sumienie. Kiedy jednak tego była potrzeba, bywał posłem, i bardzo rad służył Rzeczypospolitej, wracając zawsze po ukończeniu spraw

(a) Nie 1515, jak mylnie twierdzi Trzecieski.



MIKOŁAJ REJ Z NAGŁOWIC.

publicznych do domowego zacisza. Nigdy też z Polski za granicę nie wyjechał (a), Zygmunt August podobnież jak ojciec zaszczycił go względami, dał mu jurgiel na Chełmskim mycie i wieś Dziewięciele.

Gdy nauka Lutra przysłała do Polski, pisał Postyllę językiem polskim którą ludzie radzi czytali. Przełożył też Psalterz Dawidów z modlitwami z upodobaniem czytany i śpiewany. Pisał żywot i sprawy Józefa Żydowskiego Patryarchy, cudnymi i ozdobnymi słowy, który też ludzie bardzo radzi widzieli: Apokolipsim Jana ś. cudnym polskim językiem, z wykładem zacnego a uczonego Bulingera. Pisał też książki nadobne o Potopie, a dla ludzi dworskich: Zwierciadło albo kształt, w którym każdy stan snadnie się może swym sprawom jako w zwierciadle przypatrzeć. Także: zwierzyńiec stanów szlacheckich, którzy na ten

czas żywi byli. Pisał też dla białych głów: Zatargnienie fortuny z cnotą, podobnież dialogi rozliczne, Kosterę z Pijanicą, Lwa z Kotem, Gęś z Kurem. Także dla kmiotków: Wojta z Panem a Plebanem, jako się o swych dolegliwościach rozmawiają. I wiele innych rzeczy pisał, które poginęły i księgi niemałe do neutralibus w Brześciu Litewskim z drukarzem utonęły. A naostattek pisał księgi Żywota Pocziwego, rozdzielone na trzy wieki, młody, średni i stary: Narzekanie na nierząd polski: Zbroję dla rycerza Chrześcijańskiego, nakoniec Pożegnanie ze światem. A wszakoż na żadnym swém dziele, imienia swego wspomnieć nie chciał. Prócz tego, co on pieśni nabożnych i świeckich, wierszów rozlicznych ułożył, nagrobki różnym ludziom pocziwym, na herby i t. d., gdyż to wszystko z łatwością mu przychodziło. Pisał najwięcej w nocy, gdyż we dnie ludźmi bardzo był zabawiony; około niego panięta i ludzie młodzi ciągle się bawili; bo to był człowiek pocziwy, zachowaty, dworski,

(a) Jak sam o sobie powiada:
Z granie Polski o milę nigdzie nie wyjechał
Lecz co wiedzieć przystoi przeciem niezaniechał.

wszystkim znajomy, żywy, swobodny i niepodległy. W młodości bardzo mu świat smakował, ale potem był skromny, trzeźwy i spokojny. Umarł roku 1568.

Był to prawdziwie szczególnie człowiek; współcześni katolicy jak najgorzej o nim mówią i zelżywe na niego miotają obelgi: nazywają go żartokiem, Sardanapalem, marcheltem, przeherą, człowiekiem najgorszych obyczajów, którego wyzdana swawola tak była gorsząca, że go już nie o wiarę, ale o sromotną rozpustę wyklinano. Trudno pogodzić świadectwa współczesnych, z teorią Żywota poczciwego człowieka, którą napisał. Sam nawet Trzeciecki wzmiankuje, jakieśmy wyżej widzieli: że mu świat bardzo smakował, dodając że te przywary młodego wieku, pokrył później cnotami. Dalej pisze iż się nie wdawał w zawikłane sprawy; a inni przeciwnie świadczą, iż trawił wiek w postugach dworskich i w burzliwym świecie odmęcie. W takięj sprzeczności zdań, zamiast potępiać może niewinnego, wolimy czynione mu zarzuty i miotane obelgi, przypisać zawziętości jego nieprzyjaciół. Lecz dodajmy jeszcze kilka słów o jego dziełach i sposobie pisania. Wszędzie w nim widać gorliwość o poprawę obyczajów, wykorzenienie złych nałogów i zabobonów. Imaginacya żywa i obfita dostarczała mu co raz nowych myśli i obrazów; w opisach spostrzegamy dokładność i obszerny każdej rzeczy rozbiór, tak dalece, że może na zbyteczną obfitość, utrudzającą objęcie i przejrzenie całości, nie zaś na ubóstwo myśli czytelnikowi uskarżać się przychodzi; też samą łatwość, a czasem i dobitność widzimy w wystawieniu. Rej nie szczędzi farb, nie cedzi słówek, nie dobiera delikatniejszych wyrazów, jak to czynić zwykli miernego talentu pisarze, zasadzający całą wartość stylu, na okrągłym i słodkim wyrażeniu. Owszem, używa słów mocnych, dosadnych, oddających najwłaściwiej rzecz którą przedstawia. A ponieważ po większej części szedł za popędem własnej imaginacyi i uczucia swego, ponieważ mało co czerpał z obcych źródeł, znajdując w własnym rozumie i sercu dostateczne zapasy; przeto i zład Rej oznacza się, przed innymi pisarzami, i ma szczególniejszą zaletę oryginalności. Jego pisma są niewyczerpanem źródłem wiadomości o obyczajach owych czasów, charakterze wieku i narodu, panujących przesądach, zbytkach: z niego osobliwie pisarze romansów historycznych wiele szczegółów, zład inąd nieznanych czerpaćby mogli. Widać w nim znaczną już wprawę w pisaniu, styl płynny i obfity, peryody zaokrąglone, składnia najczęściej naturalna, czasem tylko zawikłana. Nakoniec jedna

jeszcze w nim spostrzegamy osobliwość, to jest niepochamowaną chęć do rymowania. Na wielu miejscach, zwłaszcza gdzie wyszydza zdrożności ludzkie, i wpada w zapał, prawie mimo wiedzy swojej składa wiersze: mówię wiersze, nie poezya, albowiem takowe rymowanie, będąc tylko swobodnej myśli igraszka i rozrywką w pisaniu, dalekiem jest od owego prawdziwego natchnienia muzy, bez którego trudno być poetą.

S Z Y L L E R

(ciąg dalszy)

Zamiłowanie Szyllera dla teatru, ustąpiło miejsca zapałowi do historii. Zasługuje na uwagę, iż nie przeniósł do niej swego dramatycznego geniuszu, iż nie starał się przeniknąć ducha każdego wieku, malować rzeczy tak jak się działy, zrobić się obywatelem kraju i epoki którą chciał skreślić. Szyller należy do szkoły historycznej osiemnastego wieku. Bardziej roztrząsa wypadki, niżeli je opowiada, fakta służą mu do udowodnienia z góry powziętych zasad. Z historycznych prac Szyllera, *Historya wojny trzydziestoletniej*, najlepsze otrzymała powódzenie; jest to epoka droga dla Niemców, początek nowej ery cywilizacyi: Szyller skreślił ją z zapałem i szybkością.

Za powrotem Goethego z Włoch, Szyller poznał się z tym wielkim pisarzem. Zimny charakter Goethego nie odpowiedział namiętnemu oczekiwaniu młodego poety. Goethe zaś bardzo go polubił i dokazał tego iż dla Szyllera utworzono nową katedrę filozofii, w akademii w Jena. P. de Dalbergkoadjutor Moguncyi a potem xiążę prymas, połączył swoje dobrodziejstwa z dobrodziejstwami xięcia Sasko-Wejmarskiego. Tym sposobem ustalili się los Szyllera. W krótkce potem ożenił się z panną de Langelfels, której siostra starsza poszła za pana de Wollzogen przyjaciela jego.

Wówczas zaczęto się dla niego nowe pasmo życia. Z niewymownym zapałem zajął się pracą. Odbił w młodości dobre nauki klasyczne, lecz tego drugiego wychowania, w którym roztrząsanie i pojętność wyrabia materiały nagromadzone w pamięci, jeszcze nie dostawało Szyllerowi. Znajdował się w Jena pośród najuczestniejszych mężów w Niemczech, w uniwersytecie który wtedy największym blaskiem jaśniał. Wszystko podniecało jego współubieganie, wszystko zapalało go do pracy. Wrócił do języków starożytnych, przetłumaczył kilka sztuk Eschyla i Eurypida; zaczął tłumaczyć Eneidę.

Lecz wkrótce ogarnęła go inna namiętność. Filozofia Kanta zaczynała głośną być w Niemczech. Szyller został namiętnym

jéj uczniem, i wszystkie dumania swoje w tę stronę zwrócił, a mianowicie do wyobrażeń Kanta o piękności i zasadach sztuk pięknych. O tym przedmiocie zostawił mnóstwo pism, ale w niektórych dochodzi do takiej subtelności i abstrakcyi, iż pasmo jego pomysłów staje się niedościgłe dla czytelnika. Nie wszystkie metafizyczne pisma Szyllera sprawiają tak przykry zawrót głowy; są inne napełnione trafniemi postrzeżeniami. Szczególniej zasługuje na uwagę cudowna zmiana która zaszła w jego sposobie zapatrywania się na moralność. Sztukę dramatyczną uważał odtąd pod najszlachetniejszym i najczystszyim względem. Źródło zajęcia umieścił w tryumfie moralnej strony człowieka, nad stroną materialną.

Tyle prac i wysień zniszczyły zdrowie Szyllera; w 1791 ciężko zachorował na piersi i mniemano że nie wyjdzie z tej choroby. Wiéść o jego śmierci rozeszła się po Niemczech i powszechny żal wzbudziła. Oznaiki zajęcia i żalu doszły do niego zewsząd gdzie tylko mówią językiem niemieckim. Król duński ofiarował mu pensją i chciał ażeby potrzeba nie zniewalała go do zbyt ciężkiej pracy. Szyller wyszedł z niebezpieczeństwa, lecz już nie odzyskał zupełnego zdrowia, zabroniono mu publicznych prelekeyi, musiał odtąd unikać wszystkiego coby mu zaszkodzić mogło. Podróż do miejsca gdzie się urodził i radość której doznał oglądając starego ojca, zbawienne roz-targnienie mu przyniosła. Rok przeszło przepędził w kraju, gdziego przywiązywały wspomnienia lat dziecinnych. Znajdując się niedaleko Sztudgardu, napisał do księcia Wirtemberskiego, którego dawniej był obraził porzucając jego służbę. Xiążę nie odpowiedział mu, ale rzekł jawnie, że jeżeli Szyller zechce przyjechać do Sztudgardu, nie będą zważać na jego bytność. Szyller korzystał z tego pozwolenia. W krótko potem xiążę umarł, a Szyller szczerze go żałował. Z wdzięcznością i uszanowaniem wspominał zawsze o tym pierwszym dobroczyńcy swoim.

Wrócił potem do Jeny i zajął się pracami krytyki i filozofii: najważniejszą z nich jest, rozprawa o *naiwności i sentymentalności*; szczególniej zasługuje w niej na uwagę porównanie poezyi dawniej z nowożytną.

Zamiłowanie Szyllera w filozofii oderwało go na czas niejaki od poezyi; w krótko powrócił do tej przyjaciółki lat młodych, do tej towarzyski jego życia, ale powrócił z nie tak gorzkim i nie tak boleśnym usposobieniem umysłu; już nie malował dumnych cierpień młodej i namiętnej duszy. Przygnębiła go choroba, uspokoiła filozofia;

słodka melancholia stała się dla niego natchnieniem. Ale nie zmienił przedmiotu dumań swoich. Natura i przeznaczenie człowieka zajmowały zawsze jego duszę; większa część poezyi Szyllera z roku 1795 i dwóch lat następnych tchnie tym duchem. Widać w nich głębokie przekonanie jak jest czczą i niedostateczną mądrość światowa. Poezja pod tytułem *Ideał*, jest długim porównaniem tego co wyobraźnia marzy szlachetnem, czystem i spokojnem, z tém co w rzeczywistości jest przykrém, wzburzonem i niepewnym; ale człowiek nie powinien tracić odwagi, powinien walczyć z wpływem ziemskim podniecony widokiem niebieskiego świata.

Zadna poezja Szyllera lepiej nie wystawia stanu jego duszy jak ta, o którejśmy dopiero wspomnieli, przytaczamy ją w przekładzie znakomitego pisarza JP. Kamińskiego.

I D E A Ł Y .

Chcecież zdradziecko i nieubłaganie
Rzucić mię, złote życia mego chwile!
Chcecież brać z sobą na moje znękanie
Tak mało trosek a roskoszy tyle?
Brać owe tkliwe méj duszy obrazy,
Oweto lube, słodkie urojenia?
Stójcie!... napróżno! wszechmocne rozkazy
Pędzą je w wieczny odmęt zapomnienia.

Zagasły słońca, które w rannéj porze
Życia mego, czysto przyświecały,
Wyschło ogniste moich uczuć morze,
Spełzły na zawsze świetne ideały!
Zginęła z niemi i wiara w istoty,
Co moich marzeń bywały utworem,
Ach! rzeczywistość płoszy snu pieśczoły,
Niszczy co boskiem, co piękności wzorem!

Jak Pigmalion tęsknotą trawiony,
Do nieczułego przyłgnawszy kamienia,
Póty go swemi ogrzewał ramiony,
Aż się gład zimny zajął ogniem tchnienia;
Tak ja przyłgnawszy do natury łona,
Pótym ją poił mych płomieni zdrojem,
Aż iskrą życia z martwoty ockniona,
Jęła oddychać w uściśnieniu mojem.

Aż dzieląc ze mną zapału podniety,
Skruszyła więzy swego oniemienia,
I zrozumiawszy tęsknotę Poety,
Oddała wzajem miłośne ściśnienia.
W ów czas i drzewa i kwiaty ożyły,
I srebrny strumień począł śpiewać z wdziękiem,
Nawet bezduszne gór skalistych bryły,
Odgłos méj duszy powtarzały jękiem.

W ściśnionej piersi nowy świat się toczył,
Potężnym szturmem domagał się życia,
By się w dźwięk, w słowo, w obraz przeistoczył,
Parł się przemocą z swojego ukrycia.
Jakiegoż kształtu nie było to dzieło,
Póki się w pączku ukrywało cichym!

Ach! jak się mało z tego rozwinęło,
A i to mało jakże było lichym!

Smiałej odwagi uniesiony skrzydłem,
Młodzieniec życia puścił się zawodem,
Nie dał się troskę powściągnąć wędzidłem,
Szczęsny obłądnym wyobrażeń płodem!
Aż do najwyższych przestworza błękitów
Wzbił się strzelistym swych układów lotem,
Nie było głębi, ani takich szczytów,
Gdzieby nie stanął ich skrzydeł pomiołem.

Jakże się lekko unioś w owe strony!
Bo szczęśliwemu cóż trudnego było?
W rydwanie życia widział zaprzężony
Leciuchny orszak, co mu pisał miło!
Miłość ze swoją najśodsza nagrodą,
Szczęście w swym wieńcu dokoła złocistym,
Sławę z gwieździstą na skroniach obwoda,
Prawdę w słonecznym blasku promienistym.

Lecz ach! w połowie życia mego drogi
Zdradna drużyna już mię porzuciła,
Wstecz posunęła swe ulotne nogi,
Zniknęła nagle, jak gdyby nie była!
Szczęście wionęło zbyt rączemi pióry,
Umysł badliwy trawiło pragnienie,
Coraz czarniejsze wątpliwości chmury
Ciemniły prawdy słoneczne promienie.

Na podłej skroni, polanbiony sprośnie
Widzieć musiałem święty wieńiec chwały,
Ach! jakże prędko po tak krótkiej wiosnie,
Piękne miłości chwile uleciały!
Pielgrzym samotny, opuszczony srodze,
Patrzył jak gasły jego szczęścia ślady,
Ledwie mu jeszcze na posępnej drodze,
Nadzieja promyk uroniła błady.

Z téjże wrzawliwej i tak świetnej rzeszy,
Któż ze mną wytrwał wiernie i pospołu?
Kto mię w ucisku nieszczęścia pocieszysz,
Kto zaprowadzi do ciemnego dołu?
Ty sama tylko ty przyjaźni święta!
Co twoją dłonią goisz wszystkie rany,
Co dopomagasz dzwigać życia pęta,
Com cię rad szukał, znalazł w czas żądany.

I ty, cós zwykła iść z nią wiernym krokiem
Niezgięta praco, córko zatrudnienia,
Co wicher duszy śmierzysz twym urokiem,
Co zwolna tworząc, tępisz zab zniszczenia,
Ty, co wieczności strzegąc od zraty,
Do jej budowy tkasz po jedném ziarnie,
Jednakże z czasów ogromnej opłaty,
Twa ręka, chwile, dni i lata garnie.

Są także poezye Szyllera, które nie wy-
nurzając jego osobistych uczuć wiele mają
ponęty i wdzięku. Pisano wtedy w Niem-
czech romanse i ballady o cudownych albo
rycerskich przygodach. Bürger najpierwszy
nadał wziętość temu rodzajowi; spokrewnio-
nemu z poezją średnich wieków, i przez
to upodobaną ludowi. Goethe napisał

kilka sławnych ballad, Anglia i Francya,
mają także piękne ballady. (*)

Szyllerowi powiodło się w tym rodzaju
poezyi. *Nurek*, *hrabia Eberhard z Wir-
tembergu*, *Fridolin rycerz z Togenburga*,
Rękawiczka, *Walka ze smokiem*, *Hrabia
Habsburg*, są to proste i łatwe opowia-
dania a jednakże poetycznym obleczone ko-
lorem. Przytaczamy tłumaczenie *Nurka*
przez P. Kamińskiego.

N U R E K.

„Rycerz lub giermek, kto z męskiej ochoty
W téj się otchłani zanurzyć ośmieli?
Oto w nią rzucam puchar szczerozłoty,
Już go połknęła czarna paszcz topieli.
Kto mi ten puchar wydobędzie z wody,
Weźmie go w darze jako znak nagrody.“

Król tak ogłasza i w téj samej porze
Ze szczytu skośnej, chropowatej skały,
Co się w otwarte wychyliła morze,
Ciska w głąb puchar między wściekle wały.
Któż się odważy, powtarzam pytanie,
Ponać i zgłębić te wodne otchłanie?
Słyszysz to orszak giermków i rycerzy,
I wszyscy milczą bojaźnią przejęci,
Bezdenność morza każdy okiem mierzy,
Lecz puchar zyskać żaden nie ma chęci.
A Król się pyta po trzeci raz znowu?
Nie manikt serca do tego połowu?

Wszyscy zostają w milczeniu głębokiem:
W tém złąd, gdzie giermków strwożonych
drużyna,
Skromnymłodzieniec śmiałym idzie krokiem,
Zrzuca pas z siebie, żywo płaszc odpiną,
A ta odwaga w koło przestrach szerzy,
Zdziwiał niewiasty i męźnych rycerzy.

Młodzieniec staje na pochyłej skale,
W otwartą przepaść mocno wlepie oczy,
W tém wir te same które połknął fale,
Z okropnym rykiem na powierzchnię toczy,
I jakby gromem bijąc zawierucha,
Z czarnej zatoki straszny wał wybucha:

I wre i kipi, i huczy i pryska,
Właśnie jak woda gdy się z ogniem zetrze,
Aż pod obłoki szumną pianę ciska,
Prą się bez końca bałwany w powietrze,
Niewyczerpane wciąż rzyga przestworze,
Jak gdyby z morza miało powstać morze.

Wszelako wściekłość skromić się poczyną,
A z białej piany, razem niespodzianie
Rozdziewia paszczę czarna rozpadlina,
Bezdenność, jakby szła w piekiel otchłanie:
Kręcą się fale i warczą w zatopie,
Wir je w głąb ciągnie i skwapliwie złopie:

Tu się, nim wybuch znowu wrócić zdoła,
Młodzieniec boskiej poleca obronie,

(*) Literatura polska, chociaż późniejsza w tym
rodzaju, nie dała się wyścignąć co do wartości plodów.

I... przeraźliwy słyhać krzyk do koła,
Już się zanurzył, już w odmęcie tonie:
Pełna tajemnic paszcza się zamyka,
Odważny nurek z oczu nagle znika.

Wraz na powierzchni panuje milczenie,
Pod wodą tylko stęka huk daleki,
Do koła słyhać głębokie westchnienie:
Dzielny młodzieńcze zginąłeś na wieki!
Wir coraz niżej wyje po głębinie,
Každy drząc czeka, czy nurek wypłynie.

Gdybyś koronę w te chciał rzucić tonie,
I rzekł: kto zdoła wydobydź ją z wody,
Zostanie królem, osiedzie na tronie;
Jabym tak drogięj wyrzekł się nagrody,
Bo co ta przepaść w swęj głębi ukrywa,
Tego nie powie żadna dusza żywa.

Nie raz od wiru pochwycona nawa
Skrzyje się nagle w tęg strasznęj głębiźnie,
Lecz grób żarłoczny łupu nie oddawa,
Ledwie się czasem jaki szcęt wyśliźnie —
Tu co raz bliżęj odzywa się burza,
I mocnięj ryczy i już się wynurza:

I wrę i kipi, i huczy i pryska,
Właśnie jak woda gdy się z ogniem zetrze,
Aż pod obłoki szumną pianę ciska,
Prą się bez końca bałwany w powietrze,
Niewyczerpane wciąż rzyga przestworze,
Jak gdyby z morza miało powstać morze.

I oto: z czarnych nurtów topieliska
Coś się wybija bielszego od śniegu,
Wyjawia ramię, jasnym grzbietem łyska,
I co ma siły porze się do brzegu.
Aż to on! puhar trzyma w lewęj dłoni,
Już nim wywija, wyskakuje z toni.

Oddycha długo, oddycha głębokio,
Swiatło dnia wita i modły zasyła,
Krzyk się radośny rozlega szeroko:
Żyje! ach żyje! otchłań go wróciła.
Z mokrego grobu, z przepaścistęj wody,
Wydobył duszę, powrócił bez szkody.

On się przez natłok przebija do Króla,
I wśród okrzyków pada na kolana:
„Oto jest puhar, spełniona twa wola.“
A Król znak daje: córka ukochana
Aż pod wierzch w puhar nalewa mu wina;
Tu dzielny młodzian tak mówić zaczyna:

Żyj długo Królu! Niech szczęścia używa,
Kto tu oddycha i widzi dzień miły!
Lecz tam pod wodą mieszka śmierć straszliwa!
Bogów doświadczać jest zamiar nad siły,
Próżno chce człowiek odkryć to przemocą,
Co oni zgrozą pokryli i nocą.

Gdy mię wir chwycił, piorunem leciałem,
W tęg rwiący strumień z pod wodnęj opoki
Wścięklým na poprzecz buchał na mnie wałem,
Wraz mię ujęły podwójne potoki,
I bystrym pędem wylęklęgo strachem,
Kręciły w koło potężnym zamachem.

Tu Bóg, któremu me usta zdrętwiały
W tęg strasznęj trwodze zasyłały śluby,

Wskazał mi w głębi w bok sterczącą skałę,
Jałem się chyżo i uszedłem zguby.
Tu się i puhar zaplatał w koralach,
I tak w bezdennych nie zaginał falach:

Bo jeszcze bardzo głębokio przestwienie
Kryła podemną szkarłatna powłoka,
A choć tu wieczne mieszkało uspienie,
Przecież widziałem z wstrętem mego oka;
Ze smoki, zmije, i różne poczwary,
W piekielnęj paszczy snuły się jak mary.

W najszkaradnięsze pozwijane kłęby,
Rojem kipiały okropne straszydła.
To roch kolczasty, to tracz ostrozęby,
To młot, potwora strasza i obrzydła:
Kły wyszczerzając już się ku mnie wlekła
Morska hyena, haj, poczwara wściękla.

Tam ja wisiałem sam jeden i drżący
Ludzkięj pomocy całkiem pozbawiony,
Między potwory, jeden czuciem tchnący,
W strasznęj samocie, śmiercią zagrożony,
W głębokioj puszczy, wśród gadu łozyska,
Gdzie ludzkięj mowy odgłos się nie wciska.

Tak zostawałem w okropnęj obawie:
Aż tu coś pełźnie, sto pomyka członków,
Chce mię pochwycić: ja bez zmysłów prawie
Puszczam się jętych koralu korzonków,
Wnet mię z wściękłością chwyta woda wrząca,
Ale na szczęście, do góry wytrąca.

Król go wysłuchał z wielkiem podziwieniem
A potem rzecze: weź ten puhar złoty,
I tym cię jeszcze obdarzę pierścieniem
W którym jak widzisz są drogie klejnoty,
Gdy znowu wskoczysz i powiesz dokładnie,
Co tam w tym wirze ukrywa się na dnie.

Słyszysz to córka nadobna i tkliwa,
Ach! drogi ojeze, rzecze rozczulona,
Niech ci się srogich igrzysk nie zachoiwa,
Co on wykonał, żaden nie wykona,
A gdy większego męstwa chcesz w ofierze.
Rozkaż, niech giermka zawstydzą rycerze.

Ale tęg próby Król nie ma na względzie,
Porywa puhar, w przepaść wiru ciska:
„Jeśli go śmiałość twoja wydobędzie,
Staniesz się godnym rycerza nazwiska,
I z tą, co teraz męj litości wzywa,
Dziś jeszcze ślubne złączą cię ogniwa.“

To go przenika gdyby błyskawica,
Z ocz mu się iskrzy, odwagą goreje,
Spojrzy na przedmiot, bardzięj się zachwyci,
Widzi jak płonie, mieni się i mdleje,
Piękność nagrody wzmaga w nim żądanie,
Po śmierć lub życie rzuca się w otchłanie.

Że wybuch wraca, słyhać to zdaleka,
Ogromnym hukiem ogłasza się wprzódy;
Królowna z łzami schyla się i czeka,
Wszystkie a wszystkie powracają wody,
Toczą się w górę, toczą na dół tonie
Ale młodzieńiec pozostał w ich łonie.

(Dokończenie nastąpi).